Rok IV.

Nr. 29. Nr. 29.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 18 lipca 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

Czego my chcemy?

Bardzo wielu pojąć tego nie może, dla czego występujemy tak bezwzględnie przeciw osobom stojącym dziś na świecznikach naszego społeczeństwa.

Oskarżają nas o Bóg wie nie co; — stósownie do usposobienia pojedyńczych tych naszych sędziów, — to: o spekulację dziennikarską, — to o chęć odznaczenia się, — to o zemstę osobistą, — to o warjactwo, — to o nieuctwo, — to o brak taktu, — o brak patrjotyzmu itp.

Zamęt ten w sądach o naszéj walce jest bardzo naturalnym, bo dotąd w naszém społeczeństwie nikt nie odważył się wytykać palcem skaz charakteru osób żyjących i przodujących w narodzie w chwili ich potęgi. Czyniono to po ich upadku dopiero — i to często jak najnieszlachetniéj. Dotąd pp. ex-sędziemu Mieczysławowi Łyskowskiemu, ex-profesorowi Dr. Józefowi Szafarkiewiczowi i p. Franciszkowi Dobrowolskiemu kłaniano się bardzo nizko, a pokątne o nich złe wieści, lubo ugruntowane, zbyt były sprzeczne ze sążnistemi pochwałami głoszonemi o tych ludziach po pismach publicznych, po walnych zgromadzeniach, po szynkowniach win, piwa i kawy i po restauracjach. Przyzwyczajenie staje się drugą naturą, — dla tego téż niezwykły nasz głos, a sprzeczny tym przyzwyczajeniom — wywołuje powszechne oburzenie nietylko na treść samą, ale nawet i na formę — za jawnie wytykającą osoby i ich sprawki. Nas raduje bardzo to oburzenie, — bo oni jest dowodem, że publiczność chce wierzyć w cnotę, chce mieć uczciwych naczelników, pragnie zgody i miłości, umie obdarzać swych wodzów zaufaniem. Są to objawy zdrowia duchowego społeczeńskiego — i cieszymy się niemi z całéj duszy, bo one to właśnie zapewniają nam — zwycięztwo.

Byłoby bardzo smutnym objawem, gdyby nasz głos dotąd mało znany uzyskał od razu wiarę, gdyby od razu potępiono tych, na których ktoś pierwszy lepszy rzuci słusznie czy niesłusznie — kamień potępienia.

Że do krzyków oburzenia najwięcéj się przyczyniają i tacy, których sumienie nie bardzo spokojne, a którzy się mają za jakieś znakomitości, — to rzecz bardzo naturalna, — ale dla tych nie piszemy — lubo może o nich pisać nam wypadnie. Co do formy — że ona nie jest piękną, — to nas bynajmniéj nie troszczy. Jakżeż-bo pisząc o brzydocie duchowéj — pisać lub silić się na pisanie w pięknych formach. Pozostawiamy ten kłopot adwokatom, — my obraliśmy sobie formy prostoty — naturalności.

Co do treści saméj nazwiska i imiona wypisane są dla nas jak dla chirurga owemi rdzeniami wrzodów, o których wyłonienie z ciała jak najwięcéj chodzi. Zbiegająca się około tych nazwisk cząstka społeczeństwa niby ropa około rdzenia, zawiera często bardzo zdrową krew i rozejdzie się jako organiczny materjał — skoro te rdzenne nazwiska znikną.

Wiemy — że byli winniejsi i gorsi jeszcze ludzie niż pp. Szafarkiewicz, Łyskowski, Dobrowolski i inni — a złożono ich w grób z honorami. Wiemy, że skutki sobkostwa tych panów nie są tyle widoczne, namacalne, ile takiego p. Platera lub Plewkiewicza, — ale wolemy krzyczeć przed katastrofą, — niż czekać aż nadejdzie. Wolemy żeby nasze cięgi tym ludziom zadane, służyły za przykład innym potomnym nawet ich następcom, — ażeby jeszcze gorsi od nich nie wdzierali się nam — na naczelników, — niż to, żeby oni sami zażywali spokojnie, jak tylu innych im podobnych lub od nich gorszych jeszcze — owoców swéj niesumienności.

My chcemy zwrócić uwagę publiczności, a mianowicie członków nietylko dziś istniejących naszych instytucji, ale i następnych, ażeby w żadnym interesie nawet prywatnym, — a cóż dopiero publicznym, — nie ufano zbytecznie tym, którym się te interesa powierza.

My chcemy samolubom wyrwać berło władzy naszéj narodowéj, — chcemy ztrącić ze stanowiska naczelnego

ludzi niegodnych czci publicznéj, która ich otaczała i otacza.

Walka to podjęta w interesie naszéj społeczności, a skutkami jéj być powinno nietylko uratowanie dziś istniejących naszych instytucji, ale i zapewnienie ufności w przyszłe mogące się tworzyć stowarzyszenia akcyjne. W te najpotężniejsze dźwignie dobrobytu moralnego i materjalnego, — dziś po upadku Tellusa i banku Małeckiego, — Spółki Akcyjnéj Bazaru, — Teatru polskiego, — przy czczości tak troskliwie obmyślanego organu obywatelstwa Wielkopolski, jakim jest dziś Dziennik Poznański, — przy bezowocności takiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i t. d., — dziś w te dźwignie i potęgi — u nas upadła wiara!...

Nas obecnie i głównie zajmuje badanie przyczyn, dla których instytucji naszych narodowych rozwój zkulfoniony, owrzodziały.

Ale jakżeż można spodziewać się czegoś n. p. po banku, gdzie wszechwładnie stoi na czele nieudolność finansowa pyramidalnéj zarozumiałości, jakiś ex-sędzia, — ex-gospodarz, zły patryjota, intrygant, wścibski, impertynent, człowiek nieuczciwy i bezsumienny?

Niech akcjonarjusze zgłębią przyczyny słabości takiego banku, a zawsze w jego wrzodach trafią na ten rdzeń. Z pamiętników posła Natalisa Sulerzyckiego z tomu drugiego wiedzą czytelnicy, że częściowo nasz sąd zgadza się ze sądem tego protektora, pana ex-sędziego, — a którego znał Sulerzycki od dziecka. Resztę dowodów na nasze twierdzenia — zachowujemy sobie do procesu, jaki nam ma być wytoczonym przed prokuratorem.

Czego się można spodziewać po Dziennika Poznańskiego kierownictwie, gdzie stoji na czele taki p. Dobrowolski Franciszek, — który w obec miejscowych w Poznaniu śmie twierdzić np., że dom kupiony przez Spółkę teatralną — stojący pustkami rudera, w którym tylko odźwierny mieszka, — przynosi 2000 przeszło talarów — a więcej przyniesie, gdy będzie uregulowany, — i to bezczelne kłamstwo opiera jako referent Spółki (zob. naszą broszurkę Sprawa Teatru), — na dokumentach urzędowych!...

Czego się spodziewać po Kasie Pożyczkowej i po Towarzystwie Przemysłowem, — gdzie stoji na czele taki prezes — jakim jest pan Józef Szafarkiewicz? — Z ex-profesora bezsumiennego — piszącego w historyi naturalnej dla swych uczniów, że oko ptaka wrony jest trucizną: „wronie oko jest trucizną, — a w drugiem wydaniu téj xiążki — poprawiającego się: wronie oko nie jest trucizną!!“ -- z niesumiennego profesora historji, nie wiedzącego, że to, co nazywamy wroniem okiem w handlu — jest grochem rośliny Strychnis mex vomica, — stał się niesumiennym prezesem Kasy Pożyczkowej.

Zaiste głupieję, widząc to bezmyślne bałwochwalstwo u nas, i — zaklinam Was Rodacy: nie idźmyż daléj tą drogą!...

Nie cierpmy na czele naszém ludzi, — którzy drwią sobie z nas — gdy nas oszukują. Nie zamykajmy oczu na zdrożności nawet prywatne tych, którzy nam przodują.

Nie cierpmy żadnego redaktora — jako urzędnika w obywatelskich albo innych przedsięwzięciach społecznych, — bo nieuchronnie będzie stawał w obronie swych własnych i swych kolegów zboczeń i zdrożności.

Nie cierpmy, — ażeby jeden i ten sam był ważnym urzędnikiem we więcéj, niż w jednéj służbie publicznéj.

Zwróćmy najpierwéj wszelką baczność na materyał, z którego budujemy — i mamy odbudować naszą narodową przyszłość.

Pojmijmy to, że wróg wewnętrzny w ciele naszém, że złodziej domowy — są najniebezpieczniejszymi wrogami i złodziejami, — których się ustrzedz nie można, — gdy przeciw zewnętrznym mamy i środki ostrożności i przygotowani jesteśmy na ich zachcianki! — Nie dawajmyż sił naszych moralnych i materyalnych finansowych na popieranie ludzi takich, którzy albo temi siłami szafują dla swéj własnéj głównie korzyści, albo niemi szafować nie umieją, — a porywają się do tego. W tych razach nieudolny tyle szkodliwy co i oszust, — bo jak ten, tak i tamten marnują te siły ogółu — i osłabiają nas.

Otóż tego zwrotu w prasie, — pobudzenia opinji publicznéj do zapanowania w niéj próbujemy pierwsi. Zdzieranie masek — dla nas jest tylko środkiem, — bynajmniéj nie celem; — środkiem energicznym, — niebezpiecznym, — ale skutecznym, — i to każdy prawy a myślący człowiek przyzna.

Władysław hr. Chotomski.

Podziękowanie Członkom Rady Nadzorczéj i Zarządu Towarzystwa Pożyczkowego Przemysłowego m. Poznania za wystawienie świadectwa nieuczciwości swemu prezesowi profesorowi Dr. Józefowi Szafarkiewiczowi.

Nie spodziewaliśmy się takiego poparcia ze strony najserdeczniejszych przyjaciół i popleczników pana Prezesa „Towarzystwa Przemysłowego“ i „Towarzystwa Pożyczkowego.“

Gdy ktoś się zdziwił zbiorowisku kilkunastu tych osób, którzy to świadectwo wydali, i zapytał jednego z nich: „Pocożeście się tu zgromadzili?“ — „A to zwołano nas z wiechciami, ażeby oszorować z błota profesora“ — odrzekł zapytany z przekąsem.

I dobrze go wyszorowali następującém świadectwem, które z własnéj woli dosłownie tu umieszczamy, bo za nie to podziękujemy:

„Od Zarządu i Rady Nadzorczéj Towarzystwa Pożyczkowego w Poznaniu odbieramy następujące pismo:

Artykuł w Nr 27 „Tygodnika Wielkopolskiego“ oskarza pana prof. Szafarkiewicza, jako Prezesa Rady Nadzorczéj Towarzystwa Pożyczkowego Przemysłowców m. Poznania Sp. zap. że:

1) operacjami swojemi, które jemu na korzyść wypadły, o mało nie zgubił Spółki Pożyczkowéj;
2) że Spółkę Pożyczkową wplątał w klęskę Tellusową, i że rzeczona Spółka wyplątanie się swoje z takowéj zawdzięcza tylko ofiarności pana A. Pfitznera;
3) że nadużywał kapitałów Spółki z krzywdą innych uboższych członków.

Na to opierając się na książkach naszego Towarzystwa, odpowiadamy co następuje:

Ad 1) Profesor Szafarkiewicz jako Prezes Rady Nadzorczéj nie podejmował nigdy osobiście dla Spółki Pożyczkowéj jakichkolwiek spekulacji finansowych;

Ad 2) Spółka Pożyczkowa nie była nigdy wplątana w żadne operacje Tellusowe; miała tylko w tym banku, który swego czasu za zupełnie pewnym był uważany, deponowane swe zbytnie kapitały, które bez strat i żadnych z niczyjéj strony ofiar szczęśliwie wycofała;

Ad 3) Pożyczki panu prof. Szafarkiewiczowi udzielane nie przenosiły nigdy 2000 tal., w jednym tylko razie odebrał p. Szafarkiewicz za złożeniem i cedowaniem hypoteki na 7000 tal. pożyczkę 5700 tal., a ta na czas została zwróconą. Spółka miała wtedy do dyspozycji przeszło 40,000 tal., była więc w możności wszystkim uprawnionym żądaniom swych członków zadość uczynić — a miała też i takie czasy, że depozytami pana prof. Szafarkiewicza bardzo skutecznie bywała zasilaną. Zarzuty więc w „Tygodniku Wielkopolskim“ panu profesorowi Szafarkiewiczowi zrobione nie mają żadnéj podstawy i z prawdą się nie zgadzają.

Poznań dnia 9 lipca 1874.

Członkowie Rady Nadzorczéj i Zarządu Towarzystwa Pożyczkowego Przemysłowego m. Poznania Sp. z.
C. Adamski, M. Felerowicz, F. Gozdowski, W. Jerzykiewicz, W. Kortak, B. Leitgeber, W. Pade, Dr. Zielewicz, Dr. Milewski, A. Pfitzner, Rechter, Kajkowski.“

Czytelnikowi przypomniemy, że według statutu Towarzystwa paragraf 1 brzmi: „że celem jego jest dostarczać członkom potrzebnych do prowadzenia ich procederu lub przemysłu środków pieniężnych, przez zespolenie własnych sił i kredytu.“

Siły te doszły do miljona. Część główną składano dawniéj u podskarbiego, potém w banku Tellusa, a dziś w kasie ratuszowéj magistratu, — drobną zaś, podręczną kasę wraz z biórem umieszczono po nad szynkiem wina i cukiernią w kamienicy p. A. Pfitznera, podskarbiego Towarzystwa, bardzo roztropnie dla tego, żeby wspierać proceder członka. Jako moralizujący mielibyśmy bardzo wiele ładnych rzeczy do powiedzenia przeciw temu, — ale że niemoralni za głośno już na nas krzyczą i stanowią wyrocznię, — przeto chwilowo przemilczemy nad tą bagatelką.

Podziękujemy natomiast podpisanym, że przekonali publiczność o następujących rzeczach, a których nam nie wierzono:

1) że p. Prezes nie pracował nic a nic pieniędzmi branemi z Towarzystwa, — ale tylko wyłącznie dla siebie i swych popleczników, jak to wypływa z ustępu 1 świadectwa;

2) że p. Prezes brał główne sumy z kasy Towarzystwa w Tellusie umieszczonéj jako depozyt, a rzadko z kasy podręcznéj dla bardzo prostych przyczyn, — bo w téj ostatniéj było mu za mało pieniędzy, co wypływa z ustępu 2;

3) że wbrew § 45 Statutu, który brzmi tak: „Najmniejsza pożyczka wynosi 5 (pięć) talarów, największa 4000 (cztery tysiące) talarów; pożyczki niższe mają pierwszeństwo przed większemi.“
Że wbrew temu prawu podpisani panowie dawali pierwszeństwo pożyczkom dla p. Prezesa nad mniejszemi, — bo w tym samym czasie członek wiadomy nam żądał stu kilkudziesięciu talarów i nie dostał nic, chociaż był żądał dla procederu swego rzemieślniczego, — ale p. Prezes miał proceder nie „uliczny“ — bo handel domami — proceder wielce poważany. Dla tego też gdy zabrakło pieniędzy w kasie depozytowéj Tellusa, brał nawet z kasy podręcznéj nie 5 tal. najmniéj, ani 4000 talarów najwięcéj, — ale więcéj niż „najwięcéj“, bo 5700 tal.;

4) że wbrew § 47, który brzmi tak: „Członkowie Zarządu nie mogą być współdłużnikami.“ — Że pan prezes Szafarkiewicz wbrew temu paragrafowi był dłużnikiem, choć należał do Zarządu i do Nadzoru;

5) że ci panowie podpisani wbrew duchowi instytucji, wbrew § 1 używali pieniędzy na zakup hipotek od p. Prezesa, zamiast używać grosza Towarzystwa na wypożyczki, proceder rzemieślniczy i przemysł wspierające, — i sprzedawali znów tę samą hipotekę panu Prezesowi — czyli „cedowali.“ Tegośmy doprawdy nie wiedzieli! Bardzo dziękujemy za to.

Mędrzéj już bronił tego punktu p. kupiec Leitgeber prywatnie, twierdząc, że owe 5700 tal. były wypożyczone p. Prezesowi na wexel wystawiony przez szwagra p. Prezesa profesora Wituskiego, i przyjaciela profesora p. Studniarskiego, — ale z „xiążek Towarzystwa“ wyczytał p. Leitgeber coś innego, niż wiedział z biegu interesu.

Ale to naturalném.

Jak „oparty na dokumentach urzędowych“ Spółki akcyjnéj teatru polskiego wyczytał sumiennie p. referent Franciszek Dobrowolski, że owa rudera kamienica kupiona na rzecz Spółki, „już dziś przynosi przeszło 2000 talarów rocznie“, a jeszcze wiele więcéj przyniesie „gdy będzie dom ten uregulowany“, — chociaż w téj pustéj zupełnie, z powybijanemi oknami budowli, tylko sam odźwierny mieszka i on to najniezawodniéj płaci te 2000 tal. przeszło dzierżawy, — tak samo sumiennie wyczytali podpisani pod świadectwem panowie — że nasze „zarzuty zrobione Dr. Szafarkiewiczowi“ nie mają żadnéj podstawy i z prawdą (naturalnie xiążek) się nie zgadzają*).

Xiążki te, — jak owe akta urzędowe Spółki Teatru polskiego — nigdy nie były stanowczo rewidowane, — tylko przez gapiące się niewalne Walne Zebrania po małpiemu aprobowane.

Po małpiemu powtarzamy, — choć to bardzo nieparlamentarny wyraz, — ale stósowny i prawdziwy. Jak w małpich gromadach wszystkie inne małpki i małpiątka naśladują ruchy i krzyki swego naczelnika, tak my w niewalnych naszych walnych zebraniach dotąd naśladowaliśmy swych przodowników i powtarzali to co nam podano. Gdy się kto po ludzku zapytał: Czemu to? — Jak to się stało? — Czy nie mogłoby być inaczéj? — to oburzało się Zebranie, ufając w Radę Nadzorczych i Zarządów słowa, — i takich ludzi nazywano: warjatami, zarozumiałymi, ba! szpiegami! — Dopiero gdy bankructwo wykaże prawdę, — wtedy narzekania, płacz i zgrzytanie zębów, — łzy i rozpacz rodzin, — klęski krajowe!...

Nie!... tą drogą nie iść! — Po grubijańsku wytykać wady i niebezpieczeństwa. Imiennie stawiać przed sąd publiczny, zanim sąd prawny pochwyci złoczyńców. Raz przestańmy być Polakami — co do mądrości po

---

*) Ktoś napisał w téj sprawie inserat w Nr. 476 z 12 lipca b. r. w „Posener Zeitung“ następujący, jako odpowiedź na świadectwo dla p. Szafarkiewicza:

Scena I.

Żyd koniowi uciekł.

Hrabia: Cyganie masz świadki?
Spiżar: Mam żonę i dziatki i kolegów kupę.
Chór cygański: Na poczciwość cygańską przysięgamy, że nasz herszt nic nie brał prócz tego, cośmy mu nie dali i czego wziąć nie mógł.

Placuszek, Portas, Prawy, Kręcicz i Pieprzyk.

Za zgodność poświadcza
Brzytewka.

Przytaczamy to jako głos z publiczności i dowód, że są ludzie umiejący czytać. Upraszamy atoli przyjaciół naszéj walki, ażeby anonimami nie psuły naszéj sprawy. Kto ma co do powiedzenia a uczciwie — niech się raczy zgłosić do podpisanego z dowodami, — my bez obawy pod własném nazwiskiem podamy rzecz każdą prawdziwą.

szkodzie, — uczmy się od Niemców i Żydów — być mądrymi przed szkodą — i nie miejmy ślepego bałwochwalczego fetyszyzmu dla — ludzi bez moralnéj wartości.

Na bok grzeczność — naprzód **prawda**! — gdy idzie o byt, — o dobro ogółu, — o postęp i moralność. Kto inaczéj myśli — ten złym Polakiem.

Redaktor.

Złamane serca.

Ileż to uczuć życie stłumiło
I w granitowéj śnią trumnie,
I serc zbolałych ileż zadrgnęło
Zwalczywszy mękę swą dumnie!

Ileż ich poszło z wieńcem cierniowym
I z gorżkim śmiechem ironji,
Idąc złamane szlakiem grobowym,
Zrywając kwiaty bez woni!

Idą samotne daléj a daléj
Gdzie żaden blask nie jaśnieje,
Gubiąc w zmąconéj żywota fali
Kwiat najwonniejszy — nadzieję!

Darmo go szukać, wir go pochłonął
I zagnał w świat gdzieś daleki,
Już zgruchotany w fali utonął,
Oh i utonął na wieki!

Już nigdy wiosna wskrzesić nie zdoła
Drobnéj rośliny złamanéj,
I nie rozjaśni smutnego czoła
Żaden blask ziemski kłamany!

Boleść co serce na wskroś przeszyje
Pali je żarem piekielnym,
Który nie gaśnie choć się pokryje,
Na chwilę śmiechem weselnym!

Skronie przybrane zielonym wieńcem
I oczy blaskiem palące,
Tylko zwodniczym świecą rumieńcem
I łzy chowają gorące!

Lecz łza tém sroższa gdy w serce padnie,
Tam bóle zada najkrwawsze,
Wieniec męczeństwa uplecie na dnie,
Co je opasze na zawsze!

Uriela.

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu.

(Ciąg dalszy.)

V.

U wód nowy gość się pojawił. Był nim młody doktor Kolaczek, znany od dawna hrabiostwu a zwłaszcza Łucji, ponieważ dziecinne lata w jedném spędzali miejscu. Jako przyjaciel hrabiego zwrócił na siebie uwagę pana dyrektora. W jego bujnéj wyobraźni wyłoniło się naraz podejrzenie, że i doktor Kolaczek mógł w niéj czynny brać udział. Czyżby to nie było możebném, że wiedeński ten lekarz przyczynił się do otrucia hrabiny, a w nagrodę za to miał przyobiecaną rękę Łucji? Bo jakżeż taka majętna hrabianka mogła przyjmować zaloty młodego lekarza i przekładać go nad niego, pana dyrektora policji, człowieka takich godności i tak znakomitego majątku? Tak, nietylko hrabina Rikoczy, ale nawet i Łucja nie była może zupełnie niewinną w téj sprawie. Takiemi myślami zajęty pan dyrektor zaczął nawet winszować sobie, iż się nie wdał w bliższe stósunki z tą dwuznaczną rodziną. Owa przestroga w koszyczku z sitowia zdawała mu się teraz dobroczynnym głosem Opatrzności, a małą dziewczynkę sprzedającą kwiaty, którą wówczas ofukał tak niemiłosiernie, uważał teraz jako wyrocznię delficką. W takich i tém podobnych rozmyślaniach szukał pociechy w swéj niefortunnéj miłości pan dyrektor.

Pod wieczór w gorący dzień lipcowy rodzina hrabiowska przechadzała się po promenadzie. Doktor Kolaczek, nieodstępny towarzysz téjże, szedł obok Łucji. Był dzisiaj dziwnie milczącym i poważnym. Jego ciemne myślące oczy zwracały się często z dziwnym jakimś wyrazem wątpliwości to na hrabiego, to znów spoczywały badawczo na bladéj, cierpiącéj twarzy hrabiny. Było widoczném, iż mu coś ciężyło na sercu.

Nie uszło to bystréj uwadze Łucji. Zaniepokojona zwolniła kroku, by pozostać za braterstwem sama z lekarzem, gdyż w ten sposób mogła, wśród dźwięków grającéj co wieczór muzyki, niesłyszana od nikogo, pomówić z nim otwarcie.

— Co panu jest dzisiaj? — rzekła spozierając badawczo na młodego lekarza.

— To nic pani, — odpowiedział tenże z przymuszonym uśmiechem.

— Więc pan chory?

— Wcale nie, droga pani

— Daremnie usiłujesz pan ukrywać, że cię coś bardzo niepokoi, — rzekła znów Łucja; — nie chcę być natrętną i wymagać zaufania, ale byłoby mi przyjemnie, gdybyś pan chciał podzielić się zemną tém, co cię dolega.

Młody lekarz zdawał się bardzo wzruszony.

— Uszczęśliwiasz mnie pani tém współudziałem, — rzekł z niejakiém wahaniem się. — Zapewniam panią, że umiem cenić jéj dobroć.

— Wolałabym abyś mi pan czynem dowiódł tego, — odrzekła krótko Łucja.

Doktor Kolaczek zdawał się walczyć z sobą przez chwilkę a potém rzekł głosem przytłumionym, schylając się nieco do Łucji:

— Odebrałem dzisiaj wiadomości z Wiednia, które mnie mocno zaniepokoiły. Nie wiem doprawdy co mam czynić, mówił daléj, czy udzielić pani tych wiadomości, lub zamilczeć o nich.

Łucja spojrzała z podziwieniem na młodego lekarza. Na jego twarzy malowało się rzeczywiście wielkie zakłopotanie.

— Czy wiadomości te odnoszą się do pana, do nas,

lub do jakiego wspólnego nam znajomego? — zapytała z zajęciem.

— Pani, wiadomość ta dotyczy rodziny pani, a przez to i mnie, — rzekł Kolaczek z głębokiém wzruszeniem zwalniając kroku.

Łucja spojrzała na niego z przerażeniem.

— Dotyczy się naszéj rodziny i ciebie, panie doktorze? rzekła. — A więc tém większy masz pan obowiązek uwiadomić nas o tém.

— Lecz to panią zaniepokoi, przerazi nawet, — przerwał lekarz.

— To stanie się i w tym przypadku, gdybyś pan tę wiadomość chciał ukryć przedemną.

— Lecz jest to coś tak dziwacznego...

— A więc nic prawdopodobnego?

— Źródło z którego pochodzi jest niestety tak wiarogodném, iż usuwa wszelkie wątpliwości.

— Zlituj się pan, nie męcz mnie dłużéj, powiedz otwarcie, znasz mnie przecież, że ja zdolna jestem do zniesienia wielu ciosów.

— Więc powiem pani, rzekł doktor drżącym głosem. — Piszą mi z Wiednia, że odkopano ciało zmarłéj bratowéj pani.

Łucja zbladła i zimny dreszcz przejął wszystkie jéj członki, blizka omdlenia schwyciła za poręcz stojącéj w pobliżu ławki.

— Kto panu donosi o tém? zapytała po długiéj chwili milczenia.

— Jeden z moich kolegów, który wie dokładnie o tém, odpowiedział lekarz.

— Ale po cóż, z jakiéj przyczyny uczyniono to? zapytała Łucja tonem, który okazywał, że na to pytanie już odgaduje odpowiedź.

— Droga pani, uwolnij mnie od odpowiedzi na to, rzekł lekarz.

— Ah mój biedny brat.. biedna Rozalja... jęknęła Łucja. — I na czyjże wniosek uczyniono to? mówiła daléj.

— Na wniosek kilku stowarzyszeń, u których życie zmarłéj bratowéj pani było zabezpieczoném.

— Więc na rozkaz sądu?

— Zapewne.

— Wszakże to pan leczyłeś moją bratowę w ciągu jéj ostatniéj choroby?

— Tak pani, lecz nie można to nazywać leczeniem, gdy się jest przywołanym do chorego, kiedy ten już jest blizkim skonania.

— Wszakże ona umarła na cholerę?

— Ja sądziłem, że to była cholera.

— Sądziłeś pan? powtórzyła Łucja, ale nie jesteś pan przekonanym, że moja bratowa padła ofiarą téj zaraźliwéj choroby?

— Chciéj mnie pani zrozumieć, rzekł doktor z zapałem. — Ja sądziłem i sądzę dotychczas, że gwałtowny napad cholery był przyczyną śmierci bratowéj pani. Lecz nasza sztuka może tylko przez sekcją ciała zbadać z pewnością przyczynę śmierci.

— A gdy się to stanie, potwierdzi się zapewne mniemanie pana, rzekła Łucja.

— Bezwątpienia, rzekł młody doktor, lecz nie mogąc wytrzymać spojrzenia Łucji, w którém się gorączkowe wzruszenie objawiło, spuścił oczy ku ziemi, rysując laseczką różne hieroglify na piasku.

Po chwili milczenia Kolaczek podniósł błagalne spojrzenie na Łucją i rzekł głęboko wzruszony:

— Lecz pani markotną zapewne jesteś na mnie o udzielenie ci tak przykréj wiadomości.

— Jakżeby to być mogło, rzekła uprzejmie młoda dziewczyna, — wszakże sama wymogłam to na panu. — Ale teraz czas przybliżyć się do mego braterstwa, którzy idą tam w przeciwległym chodniku. To mówiąc Łucja wyprostowała się i krokiem pewnym i śmiałym jak zawsze, z twarzą, na któréj dla powierzchownego badacza wszelkie wzruszenie było zniknęło, szła obok młodego lekarza wśród tłumu strojnych pań i panów ku swoim krewnym.

— Już chłodno się robi, droga Rozaljo, rzekła do nadchodzącéj bratowéj; pewnie dla ciebie czas powracać do domu.

— Zgadzam się na to, — odpowiedziała Rozalja spozierając pytająco na męża.

— Tak, tak, idźcie do domu, ja pozostanę tu jeszcze z godzinkę, — rzekł hrabia.

Tymczasem Łucja dała znak lekarzowi, by nie wspominał nic o tém wszystkiém jéj bratu. Ten znak był naturalnie dla niego rozkazem, lecz mimowoli przeszła mu myśl przez głowę: „czemuż dopiéro teraz dała mi ten znak, czemu nie wspomniała nic o tém, gdyśmy rozmawiali z sobą.. aha, nie chciała, bym jéj zapytał o przyczynę tego.“

Po odejściu pań doktor Kolaczek przechodził się z hrabią. Podczas kiedy doktor był z znajomych nam przyczyn milczący i zakłopotany, hrabia był dziś przeciwnie niezmiernie wymowny i wesoły. Opowiadał o swych podróżach i rozwijał nowe plany przyjemności na jesień i zimę.

— Skoro tylko moja żona i ja ukończymy tutajszą kurację, wyjedziemy tu ztąd do Szwajcarji, a ztamtąd na zimę udamy się do Włoch. Czy to nie będzie wybornie, panie doktorze?

— Daj Boże by was nie zmuszono gwałtem do pozostania, pomyślał doktor, lecz rzekł głośno:

— Czy siostra pana hrabiego pojedzie z państwem?

— To będzie zależało zupełnie od jéj woli, czy będzie chciała jechać z nami lub powrócić do ciotki mieszkającéj obecnie w Budzyniu.

— A przez Wiedeń czy nie pojedziecie państwo?

Na to mimochodem rzucone zapytanie hrabia zachmurzył się i rzekł smutnie:

— Nie, Wiednia nie chcę widzieć przez długie lata. Mój ostatni pobyt tamtejszy pozostawił mi zbyt wiele smutnych wspomnień po sobie. — I zwróciwszy prędko rozmowę na inne przedmioty, zaczął opowiadać jak wiele przyjemności spodziewa się znaleźć w Rzymie.

Tak długo jeszcze wlokła się dość nudnie rozmowa pomiędzy nimi, kiedy tymczasem Rozalja i Łucja wróciwszy do domu, ważniejsze uczyniły sobie zeznania.

— Uzbrój się w odwagę, droga Rozaljo, rzekła do niéj Łucja ściskając ją czule; mam ci coś do powiedzenia, co cię zapewne przestraszy niemało, lecz nie powinnam zamilczeć tego przed tobą.

— Ah, już się domyślam wszystkiego, — rzekła hrabina słabym głosem, tuląc się w róg otomany na któréj siedziały obiedwie, blada i drżąca jak lilja złamana.

Łucja pobiegła po flaszeczkę z eterem, dała powąchać Rozalji i skropiwszy jéj skronie zimną wodą, usiadła obok niéj i opowiedziała jéj w krótkości wszystko co dopiéro słyszała od doktora. — I otóż nadeszła chwila, dodała na końcu, gdzie powinneśmy oddać memu bratu szkatułkę. Spodziewam się, że w niéj znajdzie środek ku odparciu niegodnych podejrzeń nań rzucanych.

— Oh! moje przeczucia, moje przeczucia, narzekała Rozalja.

— Tutaj przeczucia nic nie pomogą, rzekła stanowczo Łucja; tutaj trzeba działać energicznie i spiesznie. Nie ociągajmy się więc ani chwili z uwiadomieniem twego męża o zajściach w Wiedniu i z oddaniem mu szkatułki, w któréj znajdujące się papiery zdołają zapewne wykryć jego niewinność.

— Ah Boże! może to jeszcze pogorszy tę sprawę, rzekła hrabina.

— Bądź co bądź powinneśmy się przedewszystkiém

zastósować całkowicie do woli zmarłéj. Wszakże ona mówi wyraźnie w swym ostatnim liście, że te zapieczętowane papiery wtenczas dopiéro otworzone być mają, kiedy honor i spokój jéj męża będzie zagrożony?... Musisz przyznać przecież, że to obecnie nastąpiło, więc nie powinneśmy się wahać użyć broni w ręce nasze złożonéj...

— Która się może przeciwko nam samym obróci.

— Tyś zanadto lękliwa, kochana Rozaljo, lub czy mniemasz rzeczywiście... Łucja chciała dodać: że mój brat jest doprawdy przyczyną śmierci swéj pierwszéj żony, — lecz nie mogła się przezwyciężyć ażeby to wymówić, po krótkiém tedy milczeniu dodała; Czyż moja zmarła bratowa pod tą dziwną postacią zapieczętowanych papierów złożyła pamiątkę, która jeszcze po za jéj grobem ma posłużyć na zgubę człowiekowi, którego kochała tak bardzo? O, w tym razie wielką czynisz jéj niesłuszność! Posiadała ona serce najszlachetniejsze, jakie kiedykolwiek biło dla jakiego mężczyzny.

— O, i pomimo to może... Rozalja zamilkła i spozierała smutnie ku ziemi. — Małżeństwo Karoliny nie było szczęśliwém, mówiła po chwili milczenia; twój brat nie kochał jéj tak, jak ona tego była godna. Ale, dodała jakby uniewinniając go, sercu trudno rozkazywać!

Łucja pomiarkowała teraz, że w głębi duszy Rozalji tlała iskierka podejrzenia przeciw mężowi i że to czyniło ją tak bezmiernie nieszczęśliwą i niepojęcie apatyczną. Podejrzliwszy spostrzegacz byłby może przyszedł nawet na myśl, że ta drżąca, znękana kobieta była wspólniczką zbrodni, którą wykryć zamierzano.

Jednakże Łucja nie zwątpiła ani na chwilkę o bracie i bratowéj, któréj zwłaszcza przebaczała niejedno ze względu na jéj nerwowe osłabienie, co innéj kobiecie byłaby odpłaciła wzgardą i oziębłością.

— Tylko odważnie, droga Rozaljo! Nie ustąpię od tego, by dziś jeszcze oddać bratu szkatułkę. Wtenczas on sam osądzi najlepiéj jak usunąć podejrzenia plamiące nasze poczciwe imię. Podejrzenia jak gniewu nie trzeba ścierpieć przez noc, gdyż może się przyczepić do nas bez najmniejszego nawet uzasadnienia.

Hrabina siedziała blada, osłupiała, milcząca.

— Czy nie lepiéj żebyśmy się wpierw same przekonały, co zawierają te nieszczęsne papiery? zapytała zcicha.

— Nie, droga Rozaljo, rzekła Łucja stanowczo. To należy do mojego brata, by pierwszy rozpieczętował papiery przekazane mu przez zmarłą żonę, które, jak się obiedwie domyślać możemy, jego samego dotyczą.

— Oddaję wszystko w twoje ręce, droga siostro, mówiła hrabina słabym głosem, nie mogąc zgodzić się na mniemanie Łucji, ani postanowić coś samodzielnie. — Czuję się tak wzruszoną, moje myśli wirują tak w około, że nic nie widzę jasno przed sobą, więc téż nic stanowczego postanowić nie mogę.

— Pozostaw mi to wszystko, rzekła energiczna dziewczyna, spodziewam się, iż nie pożałujesz tego. Gdzie jest szkatułka?

Hrabina wskazała na biurko stojące obok drzwi i podała jéj kluczyk, który wyjęła z kieszeni u sukni.

— Szkatułka stoi w środkowéj szufladzie, kluczyk do niéj znajdziesz na moim łańcuszku od zegarka, — rzekła drżącym głosem i patrzała lękliwie na wszystkie poruszenia Łucji. Ta wyjęła szkatułkę, włożyła w nią kluczyk próbując czy jest stósowny i przekonawszy się o tém, zaniosła ją do pokoju brata.

— Postawiłam mu ją na stole, rzekła wróciwszy. Gdy przybędzie do domu, zwrócę mu na nią uwagę.

Obiedwie kobiety siedziały jeszcze przez czas niejaki w milczeniu. Rozalja słuchała z drżeniem każdego szelestu, dochodzącego z ulicy, jakby powrót męża nabawiał ją przestrachem.

— Idź się położyć, kochana Rozaljo! rzekła Łucja litością przejęta. Jutro może wszystko inny obrót weźmie. Mój brat powraca zwykle tak późno, że go się i tak nie doczekasz, a zresztą lepiéj, że cię nie będzie widział tak wzruszoną. Zmartwiłoby go i uraziło, gdyby się późniéj przyczyny tego dowiedział.

Rozalja usłuchała tych przedstawień, wstała i schwyciła dzwonek, by przywołać pannę służącą.

— O, daj pokój temu Rozaljo, rzekła Łucja, ja ci pomogę się rozebrać. Lepiéj nie pokazywać się przed obcemi w stanie wzruszenia w jakim się znajdujemy, a którego ty przynajmniéj ukryć nie umiesz; mogłoby nam to szkodzić na późniéj.

Hrabina zdawała się pojmować łatwo ten powód. Posłuszna i potulna dała się rozebrać Łucji jak dziecko i odeszła do sypialni. Łucja pozostawszy jeszcze kilka chwil w salonie, usłyszała jéj ciche łkanie. Nie mogąc być obojętną na to cierpienie tak zadziwiające, pobiegła do niéj.

— Ależ uspokój się, droga siostro, rzekła, weźże ambicją na pomoc i nie daj się tak obalić niegodziwym posądzaniom, — ufaj twemu mężowi! — że jego niewinność wkrótce na jaw wyjdzie.

Młoda, energiczna dziewczyna zdołała ukryć w obec słabéj kobiety swe własne niepokoje. Uściskała ją raz jeszcze na dobranoc i odeszła do swego pokoju.

— Ah, jakież będzie nasze przebudzenie, pomyślała z westchnieniem odchodząc.

W swoim pokoju przepędziła sama długie chwile oczekiwania. Kilkakrotnie zadawała sobie owe trzy zapytania jednego z filozofów niemieckich, lubo w inném znaczeniu: „W co mamy wierzyć?“ — „Czego się mamy spodziewać?“ — „Co mamy czynić?“ — Na to ostatnie tylko zapytanie miała stanowczą odpowiedź: Jéj brat powinien był przeczytać papiery zachowane w tajemniczéj szkatułce. Łucja czuła jak bolesne wzbudzi to w nim wspomnienia, lecz tego nie można było tak samo uniknąć, jak nie można było ukrywać przed hrabiną tego, co się działo w Wiedniu. Bo Łucja lubo nie przyznawała tego swéj lękliwéj bratowéj, czuła dobrze, że nadchodziła nader ważna katastrofa dla jéj rodziny. A to czyniło ją głuchą na głos litości, którą w obecnéj chwili tylko małodusznością nazwaćby było można. W takich chwilach, jak się pięknie pewien filozof wyraża, serce musi albo pęknąć albo skamienieć.

Nagle ocknęła się z głębokiego dumania, po schodach dało się słyszeć ociężałe stąpanie jéj brata. Zdawał się być w złym humorze, bo łajał i groził swym dwom ulubieńcom.

Łucją zdziwiło to, bo nie znała wcale takich wybuchów niecierpliwości u niego. W ostatnich latach wprawdzie nie była prawie nigdy w jego domu, bo żyła ciągle u ciotki hrabiny M. w P..., a te lata, w których jéj brat przecierpiał niemało, mogły sprowadzić niejedną zmianę w jego usposobieniu. Lub, czyżby Dr. Kolaczek miał jednak nadmienić o swéj korespondencji wiedeńskiéj? Lub czy brat jéj z innego źródła dowiedział się o tém?

Serce Łucji zaczęło bić gwałtownie, gdy brat jéj z hałasem i krzykiem stanął w przedpokoju.

— Cezar pójdź tu! ty bestjo! wołał, czy i tobie tak jak panu dyrektorowi niemiłe moje towarzystwo? tego tam musiałem puścić bezkarnie, ale ty dostaniesz kijem!...

Skomlenie psa świadczyło, że hrabia uczynił jak groził.

Łucja wyszła teraz ze świecą w ręku do przedpokoju, lecz przestraszyła się spojrzawszy na rozgniewaną twarz hrabiego.

— Co ci się stało, kochany Almanie? zapytała z współczuciem.

— Nic, bagatela, rzekł hrabia z goryczą. Wystaw sobie Łucjo, ten głupiec, dyrektor, nie zapomniał jeszcze

koszyka z rogoży, który mu dałaś w ten wieczór. Już zawsze od tego czasu stronił odemnie i ledwo kilka chłodnych słów przemówił, gdyśmy się przypadkiem spotkali. Ale dzisiaj gdy przybyłem na kółko i usiadłem jak zwykle przy stoliku gry, przy którym on już siedział, on wstaje z pompą, bierze kapelusz i wychodzi. Cóż powiesz na taką impertynencją? Bardzo dobrze zrobiłaś, żeś dała koszyk temu głupcowi.

„On się już pewno o wszystkiém dowiedział", pomyślała Łucja z przestrachem, lecz rzekła jak mogła najspokojniéj:

— Widzisz, wszakże go lepiéj od was poznałam.

— Nie warto się troszczyć o niego, rzekł hrabia z goryczą. Są to drobnostki, przy których pomyślę sobie tak jak Goethe, wprawdzie przy innéj myślał okoliczności: „A więc i tego doświadczyłem."

— Nie pojmuję mój bracie, jak sobie możesz robić co z tego.

— Nie robię sobie nic z tego bynajmniéj, owszém bawi mnie to, że moja dumna siostrzyczka pogniewać mnie z całym światem gotowa.

— Z całym światem?

— O tak, bo i doktor Kolaczek zdawał mi się dzisiaj osobliwie chłodnym. Czyś mu także dała powąchać kwiatów z jakiego koszyka tak, że aż mu się nos skrzywił?

— Doktor Kolaczek jest naszym szczerym przyjacielem, odpowiedziała Łucja z przyciskiem. Żal jéj było doktora, że o nim mówiono z goryczą, zwłaszcza w chwili, gdzie się i nad jego głową groźne zbierały chmury, a zwracając rozmowę do głównie zajmującego ją przedmiotu, rzekła poważnie: Twoja zmarła żona pozostawiła Rozalji korespondencją czy pisma jakieś, które powinieneś przejrzeć niezwłocznie. Rozalja nie domyśla się wprawdzie do czego odnoszą się te papiery, ale jest przekonaną, że one zajmą cię bardzo i dla tego oddaje je w twoje ręce. Zostały one bowiem wręczone Rozalji wśród okoliczności, które nadają im wielką wagę i znaczenie!

Łucja mówiła to wszystko z oczyma spuszczonemi ku ziemi, może dla tego, że niezupełnie otwartą się czuła. Jednakże teraz podniosłszy oczy na brata, przestraszyła się prawie na widok jego zmienionego oblicza. Poprzedni wyraz goryczy i gniewu znikł, natomiast najwyższe zadziwienie i ciekawość wyrażały się na niém. Hrabia spoglądał w milczeniu na siostrę, jakby oczekiwał niecierpliwie objaśnienia czegoś, czego wcale nie rozumie.

— Te papiery, mówiła daléj Łucja, znajdują się w szkatułce, którą postawiłam w twoim pokoju na stole. Kluczyk tkwi w niéj.

Hrabia nie rzekłszy słowa skinął tylko głową i postąpił ku drzwiom od swego pokoju. Zdawał się tak zajęty tém co usłyszał, że zapomniał nawet powiedzieć siostrze dobranoc. Łucja słyszała tylko, że zasunął zamek od drzwi na rygiel, zawoławszy wpierw obudwóch psów za sobą do pokoju.

I znów zapanowała cisza w całém pomieszkaniu, lecz spokój znikł był z trzech serc, które niepewnéj oczekiwały przyszłości.

Tymczasem wypada nam tu nadmienić cośkolwiek o tém, co spowodowało dziwne rzeczywiście postępowanie dyrektora, które tak oburzyło hrabiego.

Dyrektor był wprawdzie człowiekiem zarozumiałym i bez żadnych zasad uczciwości; pomimo tego był jednakże wzorowym urzędnikiem. Uczęszczał punktualnie do bióra, wypełniał ściśle wszystkie obowiązki swego urzędu i nigdy nie dał się zastępować innym, by przy kartach lub bilardzie szukać rozrywki. Tym przyjemnościom poświęcał tylko czas wolny od urzędowania i nocne godziny.

Tego popołudnia odebrał był dyrektor w biórze list z Wiednia, w którym go wzywano do odbycia ścisłéj rewizji w domu hrabiego Rikoczy, a gdy się co przy rewizji wykaże, do aresztowania tegoż. „Przebywający tam hrabia Alman Rikoczy jest podejrzany bardzo, pisano w tymże liście, że otruł swą pierwszą małżonkę. Życie jéj było zabezpieczone w kilku towarzystwach zabezpieczających takowe. Wkrótce potém zmarła nagle w Wiedniu — na cholerę, jak podano w sepulturze. Oprócz tego są jeszcze inne dowody, które dają się domyślać, że tu zachodzi otrucie. Na wniosek kilku towarzystw zabezpieczenia życia, nakazaliśmy wykopać ciało zmarłéj hrabiny. Za pomocą rewizji wykonanéj pod przewodnictwem WPana, nabędziem może więcéj dowodów téj zbrodni i upraszamy, aby usilnie dbać zechciał o to, by się osoba podejrzana ucieczką nie ocaliła przed śledztwem, które i tak bardzo się spóźniło dla tego, iż hrabia był dotychczas ciągle w podróży i nie można się było o jego pobycie dowiedzieć. Listu gończego nie można było wysłać za nim, po części że dowody nie były jeszcze dostatecznie wypośrodkowane, po części, że przez to osoba podejrzana byłaby zniewoloną tém bardziéj, by się przez ucieczkę za granicę umknąć całkowicie przed zasłużoną karą. Przy rewizji chciéj WPan wydać rozkaz najusilniejszego poszukiwania małéj szkatułeczki, w któréj, podług uczynionych nam doniesień, mają się znajdować papiery potwierdzające, według wszelkiego podobieństwa, nasze podejrzenia. Trzeba także zabrać wszystkie podejrzane przedmioty i baczne mieć oko na wszystkie członki rodziny i przyjaciół hrabiego, którzy mogą być współwinowajcami tegoż.

Zresztą wzywamy Pana, byś zechciał przystępować do téj czynności z wszelkiemi względami przynależnemi osobie tak wysoko postawionéj w społeczeństwie i któréj wina jeszcze zupełnie wykrytą nie została.

Gdyby bawiący tam także p. Juljusz Melville, agent jednego z interesowanych w téj sprawie towarzystw, miał zwrócić uwagę Pana na okoliczności, któreby śledztwo ułatwić zdołały, chciéj Pan podług tego postępować samodzielnie, podług własnego przekonania i spiesznie, gdyż od tego zawisł często cały skutek zaprowadzonego śledztwa. Oczekujemy wkrótce sprawozdania WPana."

Pan dyrektor odczytał kilkakrotnie to pismo, jak gdyby nie mógł pojąć, co ono właściwie zawiera. Jednakże w końcu nie pozostała mu żadna wątpliwość. Obwinienia Melvilla mógł odrzucić z szyderstwem; do tych zaś rozporządzeń swéj wyższéj władzy musiał się zastósować, choćby był wolał, aby cała ta sprawa w inne się była dostała ręce, gdyż było mu to nader niemiło występować w tak nieprzyjaznéj roli przeciwko rodzinie, z którą przez czas niejaki w tak przyjaznych żył stósunkach, przerwanych przez to tylko, że jego starania o rękę Łucji odrzucone zostały. Lecz nakoniec pociesził się tém, że u każdego urzędnika — zwłaszcza urzędnika policji — serce nie powinno wchodzić w kolizją z powinnością i że jego kroków nikt za osobistą nienawiść nie będzie mógł poczytywać, gdyż instrukcje postępowania przeciw hrabiemu nadeszły mu z góry, zupełnie niespodziewanie.

Dyrektor lubił zachowywać pozór szlachetności, zwłaszcza gdy go to niewiele kosztowało. Przez te uwagi starał się złagodzić przed samym sobą przykre powinności swego urzędu w rodzinie hrabiowskiéj. Prawdziwego współczucia i litości nie miał bynajmniéj. Był przeciwnie niezmiernie zaciekawiony co będzie daléj z téj sprawy. Przedewszystkiém zajmowało go bardzo pytanie, czy i doktor Kolaczek nie jest w to wplątany. Mógł bardzo łatwo jako lekarz należeć do téj zbrodni. Tém można sobie było wytłómaczyć, dla czego w téj rodzinie przekładano młodego nieznanego lekarza nad niego. Może ręka Łucji miała być nagrodą za pomoc

w téj zbrodni lub za jéj zamilczenie przynajmniéj. Któż to mógł wiedzieć?...

Te i tym podobne domniemywania były gojącym balsamem na ranę w sercu zadaną mu przez Łucją.

Teraz łatwo pojąć dla czego pan dyrektor w ów wieczór wstał z taką pompą od stolika, przy którym hrabia zajął miejsce. Było to zadosyćuczynienie, którego sobie nie mógł odmówić, i które był winien swemu dobremu imieniowi.

Pan dyrektor zanim wyszedł z bióra dał instrukcją dwom niższym urzędnikom względem rewizji, która się miała odbyć bez żadnego rozgłosu nazajutrz rano o 8 godzinie. Polecił im przeszukać także pokój hrabiny. Pannę Rikoczy polecił tylko ich uwadze, ale miano ją w tym tylko razie nie oszczędzać, gdyby przy rewizji miały zajść okoliczności wskazujące, że i ona należy do téj sprawy.

Na tych rozporządzeniach przepędził pan dyrektor w biórze pół godziny dłużéj niż zwykle. Radby był bardzo widzieć się z Melvillem, ale tego nie można nigdzie było znaleźć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niezabudka.

W listek zielonych koronie
Kwiat niezabudki jaśnieje,
Spogląda w ciemne wód tonie,
Przeszłości wspomina dzieje!

Z boleścią na kwiatek patrzę
I łzą zachodzą powieki,
Czemuż uczucia świat zatrze,
Co istnieć miały na wieki!

Czemuż śród życia pochodu
Wszystkie ostygną zapały,
I pękną struny co z młodu,
Uroczą pieśnią zabrzmiały!

Czemu z uśmiechem goryczy
Na lube patrzym pamiątki,
Gdy w ciemnéj życia krynicy
Szybko znikają ich szczątki!

Wspomnienia kwiatek niebieski
Nad smętnym usycha zdrojem,
A my nań patrzym bez łezki,
Wciąż patrzym z zimnym spokojem!

ROZMAITOŚCI.

Do Redakcji Orędownika:

Nazywa Szan. Redakcja nasze zarzuty przeciw profesorowi Szafarkiewiczowi wymierzone: „niesłychaną niesumiennością“, — że „ludzie z tyłu stojący prowadzą naszą rękę“, — „rozpisuję się o rzeczach albo złą wolą, albo źle poinformowany“ i t. d. w Nr. 80 z 11 lipca b. r.

Naszém piórem kieruje obowiązek obywatelski redaktorski, — w celu przywrócenia panowania opinji publicznéj — nic i nikt więcéj.

Że nie byliśmy źle poinformowani, przekonuje świadectwo owo wystawione Dr. Szafarkiewiczowi. Czyż to nie jest nieuczciwością — zdradzać zaufanie położone w prezesie, — że on ustrzeże nadużyć, — że statutu paragrafy się wykonają?... Niech się Orędownika Redaktor nie da wodzić za nos, — a dojrzy to, co my widzimy, — i nie będzie nas tak z góry traktował, — bo mamy w jego sumienność wiarę.

Wł. hr. Chotomski.

Nie dla wartości literackiéj, ale jako pamiątkę historyjną zamieszczamy nam przez p. W. Siewicza udzielone wiersze Leszczyńskiego Rafała, ojca króla Stanisława:

Proroctwo Leszczyńskiego królowi Janowi będącemu w młodych latach:

I przyjdzie ten czas, gdy jednym zamachem
Wszystkie tureckie zdmuchnąwszy tumany,
I dumną Portę napełniwszy strachem,
Gdy jeneralny krzyż już na pogany
Podniesion będzie, a z odważnym Lachem
Zjednoczy szczęście chrześciańskie pany,
Jak złączonemu chrześciaństwu społu
Pierwszy otworzysz wrota do Stambułu.

* * *

Tegoż samego wiersze kiedy został królem król Jan:

Jam ci to znowu co niedawno twoje
W on czas gdyś jeszcze wielkim był hetmanem,
I nie bez wróżki śpiewałem poboje,
Wielkie zwycięztwa twe nad Ottomanem.
I lub niestrojnie brzmiały sielnie moje
Teraz, gdy właśnie naszym Jezus panem,
Znowu z mą muzą przychodzę przed ciebie
Pod nogi ścieląc one i sam siebie.

* * *

Wiersze złożone przez Leszczyńskiego kiedy go po zwycięztwie wiedeńskiém płacząc z radości przyjmowano do miasta:

A bodaj ci bodaj jak mocnemi wiosły
Serca poddanych aż ku niebu wzniosły,
A niż tam wnijdziesz podadzą cię w druki
One dzieła twoje wnuki i prawnuki.
A jeśli papier słaby na twych czynów wzory
Będą cię będą rżnąć w miedzie i w marmury,
A jeszcze serce trwalsze nad marmor i miedzy
A cóż cnota ta ludzi i w niebie przesiedzi.

* * *

Dyskurs o pewnym stryju kochającym się w swojéj synowicy:

Był kawalerem swojéj synowicy —
Miléj, pobożnéj w cnocie jak Estery,
Téj mu nie bronią obadwa rodzicy
A była dziwnie urodziwéj cery.
Twarz, oczy, składy nadobnéj dziewicy,
Postać Dyany, ozdoba Wenery,
Humor swobodny a w panieńskim ciele
Gdyby nie Anna, przymioty aniele.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarniach J. K. Żupańskiego i K. Reyznera.